Przybycie do Chaikhosi było dużym wydarzeniem zarówno dla nas, jaki i dla miejscowych. Aby nie tracić czasu, Constant ustalił zawczasu, że na przyjazd pociągu ma oczekiwać trzy tysiące tragarzy. Kiedy zatrzymaliśmy się na stacji, byliśmy zdziwieni i ucieszeni, widząc rozległy tłum, który zgromadził się, by nas powitać. Gdy wyjrzeliśmy przez okno pociągu i usłyszeliśmy ogłuszające wiwaty na naszą cześć, Constant napomknął o życzliwości miejscowych, będącej jedną z ich głównych zalet.

Gdy wysiedliśmy z pociągu, przywitał nas jakiś dostojnik, który wedle moich przypuszczeń był klangiem, czyli miejscowym przywódcą. Constant wszczął z nim rozmowę, starając się zachowywać jak najbardziej dyplomatycznie. Rozmawiali przez kilka minut. Europejski obserwator mógłby dojść do wniosku, że gwałtownie się kłócili, ale ja wytłumaczyłem sobie, że niewątpliwie tak przebiega dyskusja w miejscowym dialekcie.

W końcu Constant oznajmił, że nie jest to klang, lecz bang – szef tragarzy, a tłum przed nami to zamówieni tragarze.

– Według mnie jest ich o wiele więcej niż trzy tysiące – zauważył Prone.

Ja również tak uważałem, ale Constant odpowiedział, że nikt Prone'a nie pytał o zdanie i że na pewno jest ich trzy tysiące.

– Spytajmy więc banga – zasugerował Prone.

Constant wdał się w kolejną, przewlekłą dyskusję, po czym oznajmił, że bang mówi niejasnym dialektem i nie zna biegle klasycznego języka jogistańskiego.

– Policzmy ich – zaproponował Prone. – Ustawmy ich w dziesięciu szeregach.

Constant ponownie zwrócił się z zapytaniem do banga, po czym po długiej wrzawie i gestykulacji wytłumaczył nam, że w języku jogistańskim nie ma zwrotu oznaczającego „w dziesięciu szeregach". Ponieważ w tym kraju nie ma szkoleń wojskowych, trudno jest wytłumaczyć Jogistańczykowi pojęcie „uszeregowania".

Zadecydowałem, że oddalimy się, aby Constant sam przedyskutował problemem z bangiem. Odparł, że to dobry pomysł, gdyż zapewne nasza obecność denerwuje biedaka. Gdy odeszliśmy, znów przystąpili do dyskusji, unosząc do góry trzy palce u rąk i skrobiąc coś patykami na pylistej ziemi.

Na poczcie czekała na mnie niespodzianka – list od Jungle'a. Przyleciał trzy dni wcześniej i wyruszył naprzód, by przetrzeć szlak.

Głodni, w niewygodnych warunkach spędziliśmy noc w dworcowej poczekalni, gdyż do czasu rozstrzygnięcia sporu nie można było rozładować sprzętu, a bez Constanta nie mieliśmy odwagi zanocować w miejscowym hotelu. Wróciwszy rano na stację zobaczyłem, że Constant i bang wciąż stoją przy pociągu. Constant wyjaśnił mi, że jogistańskie słowo oznaczające „trzy" brzmi identycznie jak „trzydzieści" z wyjątkiem pewnego rodzaju prychnięcia w środku wyrazu, które oczywiście było niemożliwe do przekazania w telegramie. Bang odczytał więc, że ma zamówić trzydzieści tysięcy tragarzy, którzy czynili teraz niemałą wrzawę, domagając się wyżywienia i miesięcznej zapłaty. Constant obawiał się, że w razie odmowy splądrują pociąg.

Nie było innego wyjścia, jak spełnić ich żądania. Nakarmienie trzydziestu tysięcy osób przysporzyło sporych problemów i wydatków, ale trzy dni później z wybranymi trzema tysiącami mogliśmy wyruszyć w osiemsetkilometrową wędrówkę. Brakujących do pełnego składu wyprawy trzystu siedemdziesięciu pięciu chłopców do pomocy zwerbowaliśmy na miejscu. W Jogistanie jest wielu chłopców i matki są chyba zadowolone, gdy mogą się od nich uwolnić.

Podróż do stóp masywu Rum Doodle przebiegła bez przeszkód. Wędrowaliśmy przez szereg głęboko wciętych rzecznych wąwozów, pomiędzy urwistymi grzbietami

wznoszącymi się na wysokość dziewięciu tysięcy metrów lub wyżej. Czasem, przechodząc z jednej doliny do drugiej, wdrapywaliśmy się na sześciotysięczne przełęcze, po czym schodziliśmy znów na poziom den dolin, położonych na wysokości około stu pięćdziesięciu trzech metrów.

Przewyższenia były tak duże, że na przestrzeni półtora kilometra roślinność zmieniała się od tropikalnej do arktycznej, w związku z czym nasi botanicy byli w swoim żywiole. Nie jestem przyrodnikiem, ale staram się wykazywać zainteresowanie i zrozumieć pracę innych, więc zachęcałem ich do pokazywania mi znalezisk. Jestem im wdzięczny za uświadomienie, jak mało wiem o botanice.

Niższe stoki ożywiały humoreska i pokpiwka, będące wówczas w rozkwicie, a nasze nozdrza stale drażnił niepokojący zapach gryzonii. Pełno było też nostalgii, która rozwija się wszędzie z dala od domów, i powszechnie występującej swawolki. Wyżej ciemne pasy podejrzki i melancholijki ustępowały miejsca ostatnim, trawiastym partiom zboczy, poniżej granicy wiecznych śniegów. Nie rosło tam nic poza sporadycznymi, samotnymi okazami ekscentryka i staroświeckiej dumy.

Fauna także nieustannie nas zachwycała. Pospolite były kozły ofiarne, banały i długoogoniasta nuda. Często spotykaliśmy gnuśce, a czasami po zmroku dostrzegałem skradające się cienie, które Burley rozpoznał jako posępniki. Pewnego popołudnia bardzo podekscytowany Shute pokazał mi podejrzanie wyglądające stworzenie, które nazwał kosmatym żartem. Burley zarzekał się, że jest to włochata myśl, ale może był to jeden z jego osobliwych dowcipów. Poczucie humoru ma bowiem dość kiepskie. Któregoś dnia powiedział mi, że tropi go skryte podejrzenie, co było oczywistym absurdem. Mimo wszystko to dobry kompan.

Oczywiście wszyscy z napięciem oczekiwaliśmy, że dostrzeżemy Okrutnego Bałwana, o którym napisano tak wiele. Po raz pierwszy ujrzał go Thudd w 1928 roku w pobliżu wierzchołka Raw Deedle. Opisał go jako dwumetrowej wysokości człekokształtne, pokryte błękitnym futrem stworzenie z trzema uszami. Zaobserwowany stwór wydobył z siebie piskliwy gwizd i nieprawdopodobnie szybko uciekł. Kolejne spotkanie odnotowano w 1931 roku podczas bawarskiej rekonesansowej wyprawy na Hi Hurdle. Trzech uczestników ekspedycji dostrzegło go wówczas na wysokości siedmiu i pół tysiąca metrów. Ich relacje są w duże mierze sprzeczne, ale wszyscy są zgodni, że stworzenie nosiło spodnie. W 1933 roku Orgind i Stretcher znaleźli ślady stóp na śnieżnym zboczu powyżej przełęczy Trund La, a rok później na wysokości dziewięciu tysięcy stu metrów Moodles słyszał pochrząkiwania. Potem nie było kolejnych doniesień aż do 1946 roku, kiedy to Brewbody miał szczęście dostrzec to stworzenie z bliska. Stwierdził, że było kompletnie nagie, nie miało futra ani włosów i przypominało ludzką istotę normalnej postury. Nosiło przepaskę biodrową i mówiło do siebie w języku grubiańskim z wyraźnym birminghamskim akcentem. Gdy dostrzegło Brewbody'ego, wskoczyło na szczyt turni i znikło.

Takie były skromne informacje, które zebrano do tej pory, i wszyscy w podnieceniu oczekiwaliśmy, że dostarczymy kolejnych danych. Najbardziej podekscytowany był Wish, który zapewne sekretnie marzył, by do drzewa genealogicznego ludzkości dodać gatunek *Eoanthropus wishi*. Spędził wiele czasu powyżej granicy śniegu, by zbadać każdy ślad, który mógłby okazać się odciskiem stopy. Jednak choć słyszał pochrząkiwania, gwizdy, westchnienia i rechoty, a raz nawet pomruki, nie znalazł żadnych widocznych tropów. Jego entuzjazm znacznie osłabł, gdy cały odpoczynkowy dzień

spędził na zdradliwym zboczu, tropiąc parokilometrowy ślad, który jak się okazało, za namową Burleya został dla żartu wytyczony przez tragarzy.